Nr. 36. Lwów — 1889 r. Rok XII.

Numer pojedyńczy 15 ct.

GONIEC

Numer pojedyńczy 15 ct.

DZIENNIK DLA WSZYSTKICH.

„Goniec" i „Iskra" wychodzą każde po dwa razy na miesiąc — razem cztery razy. Oprócz tego tak do „Gońca" jak i do „Iskry" dołącza się stale osobny **Dodatek powieściowy** dla wszystkich prenumeratorów. Prenumerata *na obydwa pisma z dodatkiem powieściowym* wynosi tak w miejscu, jak i naprowincji kwartalnie: 2 złr., półrocznie 4 złr., rocznie 8 złr. W Poznańskiem i w Niemczech 16 marek rocznie, we Francji i innych krajach, oraz w Ameryce północnej 20 franków (4 dolary); rocznie w Ameryce południowej, w Brazylji, Australji i innych krajach zaoceanowych 25 franków — stosunkowo na kwartał i pół roku. Za ogłoszenia opłaca się 8 ct. za wiersz drobnem pismem, lub za jego miejsce. Opłata od ogłoszeń większych stosownie do umowy. Za granicą ogłoszenia przyjmują wszystkie biura ogłoszeń. Prenumeratę i wszelkie należytości przesełać najdogodniej przekazami pocztowymi, lub w listach rekomendowanych, albo pieniężnych: **do Administracji „Gońca" i „Iskry" we Lwowie, ul. Kraszewskiego l. 23.** Z Ameryki najdogodniej przesełać prenumeratę dolarami papierowymi *w listach rekomendowanych.* Listy powinny być frankowane. Numera odnoszą się zawsze do mieszkania każdego miejscowego prenumeratora. Za odnoszenie do mieszkania numerów, dopłaca się roznosicielowi 5 ct. miesięcznie.

Właściciel i naczelny redaktor: ***M. D. Chamski.***



S. p. Następca Tronu Arcyksiąże Rudolf.

Arcyksiąże Karol Ludwik,
obecny Następca Tronu Austro-Węgier.

Arcyksiąże Franciszek Ferdynand d'Este,
najstarszy syn Arcyksięcia Karola Ludwika.

Rysowane z najświeższych wiedeńskich fotografij. Patrz artykuł p. t. „Kilka słów na czasie".

Od Redakcji i Administracji.

Z numerem obecnym, rozpoczynamy **rok dwunasty** naszego wydawnictwa.

Po ukończeniu się powieści **Von Kramst** — zaczniemy drukować w **Dodatku powieściowym** inną powieść, większych rozmiarów, która się pociągnie mniej więcej do końca tego roku.

Wkrótce też rozpoczniemy szereg **szkiców ze świata dziennikarskiego polskiego**, zamieszczając równocześnie portrety naszych dziennikarzy i redaktorów.

Prosimy o odnowienie zaległej i bieżącej prenumeraty. — Wszelkie zaległości dla wydawnictwa są bardzo uciążliwe, a opieszałość szanownych prenumeratorów w tym względzie, wyrządza istotną krzywdę redakcji. Pisma polskie, w ogóle, mają prawo liczyć na obywatelskie poparcie, a narażanie ich na stratę i szkodę, jest lekkomyślnością, którą każdy potępić musi.

Wszelkie pieniądze prenumeracyjne i należytości, najdogodniej przesełać *przekazem pocztowym*, lub *w liście pieniężnym* do: **Administracji „Gońca“ i „Iskry“ we Lwowie, ulica Kraszewskiego l. 23.**

Drugi zeszyt „Klejnotów humoru, satyry i dowcipu polskiego“ wyjdzie wkrótce. Opóźniamy wychodzenie pierwszych zeszytów, aby w przybliżeniu obliczyć wysokość nakładu wydawnictwa tego, które jest kosztowne — jednak 24 zeszyty „Klejnotów“ wyjdą w ciągu 1889 r.

Kilka słów na czasie...

W poprzednim numerze „Iskry“ zamieściliśmy krótki artykuł z powodu nagłej śmierci ś. p. następcy tronu Rudolfa — dziś podajemy wizerunek zmarłego podług ostatnich fotografij...

W rękach naszych posiadamy także pamiątkę po nieodżałowanej pamięci arcyksięciu...

W roku 1880 zamieściliśmy w piśmie naszem portrety arcyksięcia Rudolfa i podówczas narzeczonej, a dziś już wdowy, arcyksiężniczki Stefanji. Numera te posłaliśmy wraz z listem od redakcji następcy tronu, od którego z Pragi, gdzie wówczas arcyksiążę mieszkał, otrzymaliśmy list serdecznie dziękujący za umieszczenie portretow i za dowody szczerej życzliwości z naszej strony. List ten przysłany był na ręce naszego głównego redaktora p. M. D. Chamskiego

Jest to jeden z tych szlachetnych rysów zmarłego cesarzewicza, którego wszystko, co dotyczyło literatury i sztuki tak żywo zajmowało, a okazanie swej łaski, życzliwości i wdzięczności dla pracowników na tem polu, uważał sobie zawsze za najmilszy obowiązek...

Oto, co pisze o zmarłym następcy tronu, węgierski literat, Jokai, znakomity powieściopisarz, a przytem gorący patrjota i mąż najszlachetniejszego charakteru.

„Straszny grom uderzył Węgry! Słowo to jest tak złowrogie, że gdy usiłuję je tu wypisać, ręka odmawia mi posłuszeństwa; brzmi tak dziko, że wierzyć mu nie możemy. Nigdy jeszcze w powołanej do tronu głowie i sercu nie mieszkało tyle dobroci i rozumu; nigdy nie posiadał jeszcze naród węgierski takiego prawdziwego przyjaciela, nigdy potomek rodziny monarszej, nie ukochał tak gorąco, jak on swej ojczyzny. Bohater stworzony do boju, jednoczący w sobie mądrość dojrzałego wieku z wrażliwem sercem dziecięcia, kochany przez wszystkich, wspominany w pacierzu poddanych, stanowiący ognisko wiedzy i najwznioślejszych ideałów wolności! Z jakąż radością złożyłbym własne swe życie, gdyby go to zbudzić mogło! Ale czemże jest ból, który ściska nasze, tak szczerze cię kochające serca, w porównaniu z rozpaczą trzeźwej rozwagi, która widzi, jak wszystkie nadzieje szczęścia następnych pokoleń, zstępują wraz z tobą do przedwczesnej mogiły! Ty byłyś nadzieją naszej przyszłości! Na tobie budowaliśmy w dal sięgające marzenia o nadejściu świetnej epoki. W tobie widzieliśmy uosobnienie szczęśliwej przyszłości, w której ludy połączą się w bratnim uścisku i w której wzniosłym przykładem własnym miałeś przyświecać ludzkości, dążącej do wielkich celów. Czem zawiniliśmy przed Bogiem, że nam cię wydarł? O cóż mamy teraz błagać, czego oczekiwać i spodziewać się jeszcze! Wielka ciemność zaległa to miejsce, z którego tak nagle nam zniknąłeś, daremnie silimy się wzrokiem naszej duszy przebić tajniki przyszłości. Pochyleni w prochu, klękamy przed twemi mamami, a opłakując cię, opłakujemy naszą ojczyznę. Jeżeli Istnieje kropla balsamu, zdołająca uśmierzyć stokrotną boleść dostojnych rodziców, to mogą nią być jedynie głęboko odczute jęki narodów. Wraz z nimi grzebią i ludy w arcyksięciu Rudolfie jedynego swego syna. Żałobą okrył się każdy dom. O Boże, któryś go zabrał do siebie, daj światło niebieskie jego duszy, by z niebios mógł nas bronić i oglądać swą „ubóstwianą ojczyznę“, tak szczęśliwą, jak uszczęśliwić ją pragnął“...

Obok, poniżej, podajemy dwa wizerunki: arcyksięcia Karola Ludwika obecnego następcę tronu Austro-Węgier i syna jego Franciszka. Arcyksiążę Karol Ludwik, jest młodszym, rodzonym bratem cesarza Franciszka Józefa i znany jest dobrze, nam polakom, z żywej dla nas sympatji, życzliwości i interesowania się naszemi sprawami. Posiada on też niepodzielną sympatję z naszej strony, która sięga daleko za kordon, gdzie biją serca polskie i brzmi mowa polska... Karol Ludwik mówi po polsku, a uczył go naszego języka Maurycy hr. Dzieduszycki. — Syn Karola Ludwika, arcyksiążę Franciszek, jest młodzieńcem, na którego miękkim i szlachetnym charakterze urabia się dopiero przyszłość... Zaszczepione zasady przez ojca i stryja, zasady prawdziwie ludzkościowe, krzewiące miłość wśród narodów, szanujące narodową indywidualność i historyczną przeszłość, w młodem sercu spadkobiercy tronu po stryju i ojcu, niezawodnie wydadzą najpiękniejsze owoce...

Czasy są obecnie brzemienne w ważne, dziejowe wypadki U schyłku dziewietnastego wieku rozstrzygną się sprawy doniosłe, obejmujące interesa całej ludzkości. Obrachunek będzie krwawy, bo też krzywdy narodów wołają o pomstę do Boga, a Bóg ręką siepaczy i „genialnych polityków“, splugawiony został w człowieku... Młody dziś dziedzic tronu opierającego się o zasady szlachetne, święte — ludzkościowe, odegra ważną rolę w tych zbliżających się wypadkach, a słowo jego i ręka zaważy na krwawych dziejach tego świata...

Zacnych ludzi na tronie — Bóg i narody błogosławią...

Od ręki.

= Rząd w Ameryce, pozwolił wygodnie poczciwym mormonom osiedlić się w zachodnich prowincjach Kanady, ale pod warunkiem, że się wyrzekną wielożeństwa. Nie było co robić, trzeba się było zastosować do konieczności; odtąd każdy mormon ma tylko jedną żonę, — ale za to ciotek, co się zmieści... Wszystkie mormonki zgodziły się bez wyrzekań na tę zmianę dekoracyj, i żyją sobie równie zadowolone i szczęśliwe, jako „ciotki“ mormońskie, jak dawniej żyły, jako małżonki... Tylko wyższe organizacje zdołają się z takim wdziękiem nakłonić do wymagań konieczności...

= Ciekawe i pouczające dla „tuzów“ kolejowych — przytem wesołe, ale nie dla wszystkich.. Służbowe stosunki na kolejach polskich i rosyjskich nie bardzo są wesołe Na pierwszych położył już swoją łapę rząd rosyjski i przyczynia się do nieporządków i dezorganizacji, na drugich kradną w jasny dzień, w ciemną noc — przed sen nawet... „Tuzy“ kolejowe tam — to wszechwładni panowie.. Otóż, jednemu takiemu „tuzowi“ pośliznęła się noga w Warszawie... Jest nim niejaki pan Halpert, wysoka figura kolei nadwiślańskiej, zwany „srogim Halpertem“.

Oto, co w tej sprawie czytamy w warszawskim „Wieku“.

W zarządzie kolei nadwiślańskiej zaszła w ostatnich dniach pożądana zmiana: „srogi“ zwierzchnik, jak go nazywano, pan Halpert, ujrzał się zniewolonym ustąpić. Pan Halpert w ciągu lat paru dał się poznać, jako administrator ogromnie giętki w kierunku sfery wyższej, a nieubłagany dla podwładnych, bicz boży, plaga egipska dla maluczkich, których pracę i zdolność wyzyskując do ostatnich granic, obcinał jednocześnie pensje, kasował gratyfikacje, słowem, ssał aż do szpiku. Wszystko to. . dla przysporzenia oszczędności. Podobny system administracyjny byłby niemożliwy *à la longue*. Służba kolejowa ma to do siebie, że w rezultacie publiczność płaci osobistem bezpieczeństwem za podobne „oszczędności“ oparte na obrywkach pensyj i przeciążeniu robotą, bo źle płatny i nad miarę pracujący urzędnik i oficjalista musi z konieczności mieć troski i kłopoty, które mu dobrze pełnić służby nie pozwolą.

Ustąpienie przeto zwierzchnika, który tyle tylko umiał, było wielce pożądanem. W sferach kolejowych panuje też zupełne z tego powodu zadowolenie. Przez cały czas swego urzędowania na kolei nadwiślańskiej umiał sobie p. Halpert skarbić tylko niechęć, lekceważenie i tym podobne pokrewne uczucia. Jak zaś ogólnie te uczucia są dzielone, świadczy okoliczność, że ustępującemu zwierzchnikowi nie towarzyszy znikąd dobre słowo. Natomiast, humor dopomniał się o swoje prawa. Pisma humorystyczne poświęcają pożegnanemu różne wspomnienia i prozą, i wierszem. Między innemi, ostatni numer „Muchy“, mający w ogóle sporo dowcipu, przynosi następujący wiersz p. t. „Pożegnanie p. Halperta“.

Pękły z radości i rozrzewnienia
Dwie całkiem nowe lokomotywy,
Relsy wznosiły radosne pienia,
Tender hymn nucił, jak człowiek żywy!
Tańcował nasyp, drżała pucerka,
Z radości wściekły się trzy wagony,
A weksel okiem czerwonem zerka,
Tańcząc kankana, jakby szalony...

* * *

Cóż to za powód takiej uciechy?
Ażali pensje wszem zdublowano?
Że wszędy słychać chichoty, śmiechy,
Radość, wesołość i rozkosz?... A, no,
Taki jest właśnie powód radości,
I taka wielka rozkoszy sterta,
Że sławetnego z swych oszczędności
Już... wyproszono pana Halperta!

* * *

O wielki mężu! co w swym systemie
Działałeś, jako wierny parobek —
Gdy już twój urząd pogrzeban w ziemię,
Taki ci oto stawiam nadgrobek:
„Tu, pod tym głazem ledz miały kości
„Tego, co gnębił na wszystkie strony —
„Że szkoda ziemi (dla oszczędności!)
„Wię został tylko precz wyrzucony“...

Bal dobroczynny.

Posypały się obole,
By nakarmić rzesze liczne
Jasno świecą żyrandole
Pachną kwiaty zagraniczne.

Z szyji ptaka na fontannie,
Co do lotu skrzydła składa,
Pluszcze woda bezustannie —
Srebrnym deszczem wciąż opada.

Po posadce pary suną
W takt kapeli, jak na pasku,
Lecz nie biją twarze łuną —
Nie dopatrzysz w oczach blasku.

Konwenansów srogie prawa,
Wszystkich tu trzymają w mierze. —
I wspaniała ta zabawa
Ztąd swój przymus właśnie bierze.

Brylantowe brosze, szpile
I toalet obce miana,
Fałdy, bufki i mantyle,
Wielbi młodzież pozłacana...

Ten, co przez rok cały prawie,
Nie obdarzył biednych centem,
Dobroczynność na zabawie,
Chwali paryzkim akcentem.

I tej odchylmy zasłonę,
Zasługuje na to przecie:
Balu tego dobrą stronę
Widzi w własnej tualecie.

Lecz, że pomoc znaczna wcale
Ztąd przychodzi głodnej rzeszy,
Bal się udał doskonale,
Sprawozdawca dodać spieszy...

Bol. Sch. Wol.

Pod adresem niektórych dziennikarzy warszawskich i petersburgskich.

Dzieje kołowacizny dziennikarskiej byłyby bardzo ciekawe, gdyby kto zajął się tym przedmiotem. U nas, w stosunkach polskich, na nasze nieszczęście narodowe, rozwijających się wśród niejednakowych warunków politycznych, oznaki tej kołowacizny, połączonej z ignorancją, a czasem i ze złą wolą, szczególniej też w ostatnich czasach, ujawniają się dosyć często. Ostrze, dość zresztą, tępego dowcipu fejletonowego, zgryźliwość humoru dziennikarskiego, libertynizm polityczny, dość płytkie i banalne morały ekonomiczne, pewne protekcjonalne klepanie po ramieniu i wiele jeszcze innych objawów publicystycznego mentorstwa, krupi się na naszych polskich stosunkach w Galicji. Można nawet dostrzedz pewną niczem, a niczem nieuzasadnioną zaciekłość pod tym względem... Piszący ten artykuł, ani nie jest ga-

To jest bardzo [illegible] — „Czas“ mógłby zwrócić na to uwagę

licjaninem, ani też nie ma szczególnych powodów bronić tutejszych stosunków — przeciwnie, gdyby tego była potrzeba, potrafiłby udowodnić, że był może zanadto surowym ich sędzią — ale jesteśmy tego przekonania, że pisząc o nich, trzeba się zawsze rachować z tem, co wolno pisać polskiemu publicyście w Petersburgu, albo w Warszawie, jeżeli nie może napisać wszystkiego, bo mu cenzura usta na kłódkę zamyka.

Wychodzący „Kraj“ w Petersburgu, organ, jak wiadomo p. Spasowicza, którego chorążym jest niejaki p. Piltz, postawił sobie katedrę nad Newą, czasem nawet zamienioną w ambonę, opierającą się, naturalnie, o prawosławne wydęte kopuły — i z tej wysokości krytykuje nasze życie polityczne, umysłowe i ekonomiczne, raniąc najczęściej nietylko ludzi pracujących uczciwie i pożytecznie na swoich wybitnych stanowiskach, ale obrażając nieraz najświętsze uczucie narodowe polskie, osłoniwszy się pewnym „szerokiej natury“ patrjotyzmem, który tak chętnie od cenzury petersburgskiej otrzymuje absolucję, a nawet błogosławieństwo.. Mniejsze, zresztą, o p. Spasowicza, którego znamy jeszcze, gdy był profesorem prawa karnego w uniwersytecie petersburgskim i wtedy inne miał poglądy polityczne, chociaż przyznajemy to chętnie, że potrącały one zawsze o szeroki panslawizm — wierzymy, że były profesor, który dostał dymisję za udział w wypadkach 1863 r. mówi i pisze teraz w dobrej wierze; mniejsza o „Kraj“, którego wychodzenia w Petersburgu w takim zakresie, w takich kierunkach i, bynajmniej, nie broniącego interesów polskich w obec społeczeństwa rosyjskiego — którego wychodzenia w Petersburgu, powtarzamy, ani rozumiemy, ani najmniejszej potrzeby nie uznajemy; mniejsza tem bardziej o jakiegoś p. Piltza, wykolejonego publicysty cygańskiego, który na bankietach rosyjskich redakcyj, przez nikogo nie proszony i nie upoważniony, za kieliszek portweinu, gada po prostu głupstwa sentymentalne, na które wśród biesiadników nawet nikt nie zwraca żadnej uwagi, mniejsza o to wszystko, bo takiej placówki polskiej w Petersburgu, społeczeństwo polskie nie postawiło, a uzurpowanie sobie ambasady polskiej nad Newą, nawet przez tak zdolnego pisarza, jak pan Spasowicz, byłoby śmieszne, gdyby w naszych stosunkach nie było zbyt bolesne, a często i szkodliwe.. Ale idzie nam o to, że ta polityka petersburgskiego „Kraju“ oddziałała na pewne redakcje i na pewnych publicystów w Warszawie. Sejm galicyjski, dziennikarstwo, instytucje, zakłady, sądownictwo, szkoły, ludzie stojący na pierwszych stanowiskach, bądź to rządowych, bądź autonomicznych, stają się przedmiotem najniesprawiedliwszych sądów, uwag, często insynuacyj, a nierzadko drwin po prostu...

Pan Prus n. p., niezawodnie, utalentowany fejletonista, ostrze swojego dowcipu zapuszcza nieraz w nasze stosunki i trzeba przyznać bez ogródki, że kłamliwe rozszerza opinje wśród czytelników swoich. „Prawda“, „Przegląd Tygodniowy“, „Kurjer Codzienny“, „Rola“, że już nie wspomnę o innych, piętnują nas tu systematycznie. Ileż to z powodu znanej „sprawy kukizowskiej“ odebrało cięgów od warszawskich mądrali tutejsza szlachta, sądownictwo, duchowieństwo, prokurator, procedura austrjacka... Płytkie to, co prawda, czasem ogromnie głupie, o co by, zresztą, mniejsza było, ale rozszerza się tym sposobem fałszywe opinje wśród społeczeństwa polskiego pod zaborem rosyjskim, które nie ma możności czytywać innych dzienników i nabiera niekorzystnego przekonania o tem, co się tu dzieje. A jednak, jedyny to kąt dawnej Polski, gdzie są polskie szkoły, polskie urzęda, polski sejm, polskie sądownictwo w procedurze i w prokuratorji bez jednego wyrazu cudzoziemskiego, polska administracja polityczna i skarbowa — jedyny kąt dawnej Polski, gdzie rządzą, sądzą i uczą polacy — jedyny kąt dawnej Polski, gdzie od tronu nie wieje zagłada narodowa, lecz pomoc dla jej rozwoju, bytu i lepszej przyszłości.. Czy w obec tego, co się dzieje pod rządem rosyjskim i pruskim, postępowanie tych mądrali warszawskich da się usprawiedliwić? Czy to może jest jaka wyższa polityka? Czy może bezwzględna prawda, która ma być zastosowana we wszystkich poglądach na publiczne życie? — gdzie tam — to jest kołowacizna dziennikarska — płytka, bezmyślna, głupia — nie widząca dalej, jak koniec własnego nosa... Zdrowy rozsądek dyktuje przecie, że, jeżeli w obec cenzury moskiewskiej, nie można pisać wszystkiego, a szczególniej nie można dotykać stron dodatnich — to lepiej nic nie pisać i nie dawać do ręki fałszywej broni tym wrogom Polski, którzy piją jej krew i pragną wyżreć jej mózg... Czy tak rozkosznie tym panom w Warszawie, tak tam żyją całą i pełną piersią, że aż puszczają zagony swoich humorów i żółci na tę część ziemi naszej, na której wyrosły młode drzewa polskie i rośnie z nich pokolenie, któremu w szkołach nie trują serca, nie kładą do głowy przewrotnych i złodziejskich idei politycznych i nie politycznych, nie plugawią młodych umysłów podłymi fałszami historycznymi i nie gangrenują duszy polskiego dziecka...

Jeśli to jest zabawa tych panów — to, doprawdy, źle się bawią — jeśli zaś myślą, że im wolno to robić — to się grubo mylą, bo zdać kiedyś muszą z tego rachunek, a opinja publiczna polska, chociaż jest krępowana rozmaitymi względami politycznymi, niezawodnie, znajdzie sposób, aby ich głośno potępić.

Dziennikarstwo polskie w Galicji, a kto jest uczciwym człowiekiem musi to przyznać, że z pewnem nawet bałwochwalstwem, patrzy na tę Warszawę, na tę naturalną stolicę Polski — czci ją, błogosławi i składa w niej wszystkie swoje ideały... Pod względem politycznej jedności narodowej, dziennikarstwo polskie w Galicji spełnia swoje obowiązki z prawdziwym patrjotyzmem, taktem i rozumem politycznym. Największy wróg nic mu pod tym względem zarzucić nie może. Ale niektórzy panowie dziennikarze warszawscy, uważają tu nas za jakichciś kopciuszków, czy coś podobnego i zapewne bezmyślnie, ale faktem jest, że swojemi publicystycznemi pięściami i łbem, wbijają głębiej rozbiorowe słupy graniczne i stawiają kordony wśród tego życia narodowego polskiego, gdzie kordonów żadnych stawianych rękami polskich literatów,być nie może i być nie powinno.

Proces Kukizowski.

Po trzech tygodniach publicznej rozprawy, skończył się, nareszcie, proces kryminalny, który zajmował uwagę nietylko całej Galicji, ale z pewnością całej Polski — obwinieni, bowiem, a obecnie uniewinnieni, należą do dobrej i osiadłej szlachty, powiązanej krwią i stosunkami we wszystkich częściach dawnej Polski. Jest też właściwością szerokiego pospólstwa, że gdy człowiekowi ze sfer uprzywilejowanych majątkiem, urodzeniem, lub nawet talentem poślizgnie się noga na tym bożym świecie — opinja publiczna sądzi go surowiej, namiętniej, a mnóstwo jest i takich, którzyby bez sądu i śledztwa wydali wyrok potępienia.

Szczegółów śledztwa z toczącego się procesu kukizowskiego, oczywiście, nie podawaliśmy, bo to nie należy do pisma wychodzącego nie codzień — uwag zaś, które nam się nastręczały podczas śledztwa i rozprawy, robić nie mogliśmy, bo tego zabrania ustawa prasowa.

Zaraz z początku rozprawy, cały proces tak się zarysował, że pani Strzelecka i jej syn, przez sąd przysięgłych musieli być uniewinnieni, tembardziej, że zeznania najgłówniejszej osoby, to jest księdza Tchórznickiego, były tak bałamutne i skutkiem przygnębienia wiekowego, idjotyczne, iż nietylko nie pomogły do wyjaśnienia, ale jeszcze bardziej zagmatwały wszystko.

Nie pamiętamy procesu kryminalnego, przynajmniej u nas, tych rozmiarów, tego towarzyskiego znaczenia i szerokiego zainteresowania, ażeby obrona tak miała ułatwione pole do działania, a przeciwnie prokurator tak trudny do spełnienia obowiązek. Z czterech obrońców, którzy w tej sprawie stawali, tylko dwóch t. j. pp. Roiński i Dulęba, wypowiadali właściwe mowy obrończe, a przyszły im w pomoc tak zagmatwane sytuacje, tak bałamutne i niejasne zeznania świadków, taki, wreszcie, chaos, kręcący się w kółko na jednem miejscu, że pp. obrońcy nie potrzebowali się wcale wysilać, aby uratować honor swoich klijentów. Za to p. prokurator Girtler znalazł się, jakby w samotrzasku i trzeba mu przyznać, że na swojem stanowisku i z tytułu swego charakteru i obowiązków, wywiązał się nawet z talentem, a nie pominął najdrobniejszej okoliczności i chwili, które mogły posłużyć na podtrzymanie aktu oskarżenia.

Wszystko się, jednak, na nic nie zdało, werdykt musiał być uniewinniający, bo pozytywnych dowodów ani śledztwo, ani rozprawa nie wykazały.

Pani Marja Strzelecka i pan Aleksander Strzelecki: matka i syn, powrócili napowrót do społeczeństwa i w obec wyroku nikt nie ma prawa robić im jakiegokolwiek zarzutu. Jednak sprawa kukizowska, zdaniem naszem, skończona nie jest, a nie skończy się dopóty, dopóki istotni winowajcy wyśledzeni nie zostaną, a jeżeli już nie zdołanoby ich pochwycić osobiście, to przynajmniej wykryte być powinny jakieś pozytywne ślady zbrodni, któreby były jasnym dowodem, jacy to złoczyńcy godzili na życie i majątek ks. Tchórznickiego?...

Rodzina pp. Strzeleckich zrozumiała to dobrze i nie poprzestała na wyroku uniewinniającym matkę i syna, lecz dokłada wszelkich starań i nie szczędzi kosztów, aby wykryć istotnych sprawców zbrodni, która do dziś dnia jest zagadką, a leży w interesie wielu osób, aby nią być przestała...

Coś z polityki rosyjskiej.

Zgon arcyksięcia Rudolfa w prasie rosyjskiej, w ogóle biorąc, wywołał pewne wrażenie nieprzechodzące granic przyzwoitości publicystycznej, co, jak wiadomo, w dziennikarstwie rosyjskiem nie jest rzeczą zwykłą... Niektóre nawet pisma rosyjskie, wypowiedziały wprost i otwarcie zdanie, że śmierć arcyksięcia Rudolfa, jest klęską dla słowian, bo zmarły następca tronu Austro-Węgier, lgnął do nich i nie cierpiał obecnego cesarstwa niemieckiego, zdrutowanego bagnetami pruskimi... Nie wszyscy jednak zapewne wiedzą, że w Petersburgu wychodzi „Grażdanin“ — pismo dawniej tygodniowe, a obecnie codzienne; redaguje go i wydaje książe Meszczerski. Człowiek to dziwnego autoramentu — nie można mu odmówić pewnej oryginalności i fantazji publicystycznej, a przytem jest czasem bardzo dowcipny. Jest on konserwatystą, ale konserwatystą *par excellence* rosyjskim — więc tęskni za knutem, a w jedynowładztwie cara i jego bezwzględnym despotyzmie, widzi najwłaściwszą i bezwarunkową formę rządu dla narodu rosyjskiego. W kwesji polskiej i w ogóle, co do stosunków polskich pod zaborem rosyjskim, książe Meszczerski trzyma się z pewną rezerwą i, o ile wyrozumieć można, nie byłby od tego, żeby oddzielić interesa polskie polityczne od rosyjskich, i dać wolny rozwój narodowości polskiej — często wszakże czytać można luźne notatki w „Grażdaninie“, w których, co do polaków czuć niedźwiedzia w rękawiczkach... Otóż, ten ks. Meszczerski pisząc w „Grażdaninie“ o śmierci arcyksięcia Rudolfa, między innemi powiedział, że, gdy już w tym czasie drugi ze świata monarchów humanitarnych tak zawcześnie schodzi do grobu — „widocznie Opatrzność nie życzy sobie, aby *filozofowie* siedzieli na tronach“...

Jest to uwaga moskiewskiego satrapy *pur sang*. Jest w tem pewna bezczelność „szerokiej natury“, która myje ręce w szampanie, a pije prostą siwuchę... W Japonji już oto została ogłoszoną konstytucja — w Chinach zapewne także nastąpi coś podobnego, ale dla Rosji, zdaniem redaktora „Grażdanina“ i rosyjskich konserwatystów, zawsze będzie najlepszy — kij... Dla tych panów, nie filozof siedzieć powinien na tronie, ale panujący, który w jednej ręce trzyma knut, w drugiej szubienicę, w gębie flaszkę wódki, a pod nogami schylone łby poddanych, którzy mu nogi liżą...

Teatr.

W *Myszce* debiutowała znowu panna Helena Zimajerówna w roli Marty, zwanej familjarnie **myszką**. Pomimo nrzędowego i nienrzędowego zachwytu, niektórych recenzentów, nie możemy nic więcej powiedzieć nad to, że panna Helena Zimajerówna była wprawdzie myszką, ale nie zdołała być Martą. Z myszki prawie zawsze bywa mysz, czy jednak z panny Heleny Zimajer będzie artystka i to tej wysokości, na którą ją ciągną troskliwe ręce rodzicielskie — to jest pytanie, którego przesądzać, nie chcemy i pozwolimy sobie tylko to powiedzieć, że co innego wyuczyć się roli i grać, jak pozytywka, a co innego wrodzony talent, temperament artystyczny, i owa, iskra boża, których nie da, ani ojciec, ani matka, ani ciotka, ani babka, ani nawet urzędowa gazeta, chociażby jej redaktorem był... Bismarck.

Wznowiono u nas, po długiej przerwie: *Frou-frou*. Czy dobrze zrobiono — nie wiem, ale, że w tej obsadzie, jak widzieliśmy to „oeuvre“ melodramatyczne, niekoniecznie było takie, jak być powinno — to nie ulega wątpliwości... Frou-frou była pani Stachowicz — miała sceny śliczne, w których talent tej artystki zajaśniał całym blaskiem, ale nie wszędzie tak było, a scena końcowa w trzecim akcie z brawurową forją odegrana nie była właściwie pojęta i przypominała raczej mamkę z „Ottella“, aniżeli lekką, powiewną i łagodną Gilbertę... Pannie

Charlemont dano rolę Ludwiki, rolę równoległą do Gilberty, rolę, która wymaga tego, czego panna Charlemont nie ma... Bez zarzutu grali: pp. Kwieciński, Woleński, Zboiński, Ruszkowski, oraz mniejsze role panie: Woleńska, Wisłobodzka, pan Dębicki i inni.

Dawno nie grana opera *Bal maskowy*, sprowadziła dość liczną publiczność do teatru naszego. Opera szła, co się zowie, dobrze, z wyjątkiem panny Berghi, której głos, pajęczej siły nie mógł objąć i podołać dramatycznej partji Amelji.

Trzeci z rzędu występ panny Frenkel-Niwińskiej był pomyślny — partja wróżki przypadła do głosu panny F.-N., która też śpiewała starannie, poprawnie i z pewną ekspresją dramatyczną.

Z przyjemnością notujemy, że tym razem bohaterem przedstawienia *Balu maskowego* był pan Santinelli — śpiewał on partję hrabiego ze smakiem artystycznym, głosem pełnym, dźwięcznym i z umiejętnością cechującą wytrawnego śpiewaka. Oklaskiwano też panna Santinellego hucznie. P. Wierzbicki śpiewał partję barytonową doskonale. Piękny głos tego śpiewaka oparty o szeroki i zdrowy materjał wokalny, ustalił się i wszedł w właściwe swoje miejsce. W czwartym akcie, wśród frenetycznych oklasków, musiał p. Wierzbicki powtarzać.

Na pochlebną wzmiankę zasługuje jeszcze pani Kasprowicz, która partję pazia wykonała z wdziękiem i z właściwym jej talentem wokalnym.

Mniejsze partje odśpiewane zostały bardzo dobrze przez pp. Jeromina, Koncewicza i innych. Całość wypadła, jakieśmy to już wyżej wspomnieli — dobrze.

Drobna kroniczka.

+ Karnawał osiadł u nas na lodzie w tym roku z powodu śmierci arcyksięcia Rudolfa. „Fikalscy" w rozpaczy. Wprawdzie, odbywają się gęsto i często ranty, ale na nich trzeba mówić, a talent „Fikalskich" jest tylko w nogach... Pomimo jednak tego cichego karnawału, tu i owdzie ludziska podrygują. W tak nazwanym „Frohsinie" lwowskim odbył się piknik, pod nazwą: *Nasz piknik*. Nazwa to oryginalna, ale za to... nie ma sensu. Niby *czyj* ma być ten *nasz* piknik? Wartoby to ogłosić plakatami na ulicy. Zapewne aranżerowie tego *naszego* pikniku, tak są dumni z niego i z takiem poświęceniem spełniali swoje obowiązki, że wydadzą sobie bankiecik dziękczynny. Nie jesteśmy purystami i bynajmniej, nie chcemy krępować popędów i właściwości tak odpowiednich dla ludzi młodych — ale sądzimy, że gdy na pewien przynajmniej czas, wstrzymano się od zabaw tańczących publicznych, a zrobiono to z własnej woli i z głębszych politycznych pobudek, to aranżerowie *naszego* pikniku, mając poczucie taktu w nogach, mogliby okazać na tyle rozsądku w głowach, żeby nie urządzać *naszych* pikników, bo choć to drobny fakcik, ale nie jest *nasz*...

+ A propos les bottes, a właściwie mówiąc karnawału, dowiadujemy się, że w mieście naszem powstaje nowe przedsiębiorstwo. Wkrótce będziemy mieli *zakład wynajmu „Fikalskich" i aranżerów*. Będzie to wielkie udogodnienie dla urządzających bale tańczące. Zakład ten dostarczać będzie po różnych cenach „Fikalskich" i aranżerów, którzy podzieleni zostaną na klasy, a cena także zależeć będzie od tego, czy się wynajmuje „Fikalskich" z kolacją, czy na własnym wikcie, czy młodsi, czy starsi, czy ze stanowiskiem, czy bez stanowiska, czy w rękawiczkach nowych, czy wypranych w benzinie, a nareszcie, czy bez rękawiczek. Co zaś do aranżerów — to ci zawsze będą wynajmowani z kolacją i ze wszelkimi honorami. Cena ich jest dość wysoka, jak na nasze stosunki. Bliższe szczegóły podadzą wkrótce afisze.

+ Łzy i śmiech.

Kto chce je widzieć pomieszane — niech czasem zajrzy do domu warjatów. Nasz Kulparków, gdzie ci nieszczęśliwi zdążają do ostatniej mety, mieści w sobie między innymi, kilku takich warjatów, którym przed tem talent, albo nauka inne zapowiadały życie — może nie po kwiatach, ale przynajmniej po cierniach sławy... Znany w szerszym polskim świecie deklamator Konopka, po ciężkich i bolesnych zawodach w życiu, nie stary jeszcze, w sile wieku, osiadł niedawno w Kulparkowie... I cóż powiecie — dobrze mu tam jest. Sam jest zadowolony. Najprzód, ma to przekonanie, że go tam umyślnie sprowadzono, aby deklamował warjatom — więc deklamuje po całych dniach, a na słuchaczach nigdy mu nie zbywa, tembardziej, że zarząd tego domu obłąkanych, nie tylko nie broni ta kiej szlachetnej rozrywki, ale owszem uznaje ją, jako jeden z dobrych wpływów na choroby umysłowe. Obłęd Konopki jest spokojny, a nawet na pierwszy rzut oka niedostrzegalny, a co zadziwia, że pomimo tego obłędu, pamięć nic nie ucierpiała i z równą łatwością wygłaszała całe poemata i dramata, w obec uważnie słuchających go warjatów, jak kiedyś wygłaszał przed wykwintną publicznością we Lwowie, w Krakowie i w Warszawie w salach publicznych. Spokojne życie, dobre odżywianie się i wygodne łóżko, ciepłe i widne pomieszkanie przyczynia się do tego, że Konopka wygląda doskonale i wcale na nim nie znać żadnego przygnębienia — dopiero w rozmowie i przy opowiadaniu widzi się umysł skażony obłędem i pewną dość, zresztą, w łagodnych formach objawiającą się melancholję — mówi on, iż tak mu jest tam dobrze, że nigdy mu w życiu lepiej nie było. Chyba nie można nazwać takiego człowieka nieszczęśliwym...

+ Są różne walki na świecie, najzajadlejsze jednak o chleb powszedni. O ten chleba kawałek zawrzała walka sroga, na szczęście w inseratach pism codziennych, pomiędzy p. Lewickim, właścicielem magazynu szkła i porcelany, a pp. Okornickim i Gebhardtem właścicielami takichże samych składów we Lwowie. O cóż im poszło? Pan Lewicki sam jeden sprzedaje więcej, aniżeli razem pp. Okornicki i Gebhardt. Pan Lewicki wali rozmaite reklamy po pismach i te mu przynoszą korzyść, zamiast tedy mieć pretensję do pana Lewickiego — niech pp. Okornicki i Gebhard robią to samo. Ruszać się w świecie trzeba — to trudno — pieczone gołąbki nie idą do gąbki — czy zaś reklama jest sztuczna, czy prawdziwie przez kogoś podana — nie w tem rzecz, ale w tem, aby towar był dobry i tani, i aby ściągnięta reklamą publiczność, przekonała się właśnie na towarze i cenie, że prawdą jest, co w reklamie piszą, a mniejsza kto pisał.

Pożyteczne wiadomości.

Domowym środkiem przeciw zołzom bardzo prostym, a nader skutecznym, ma być kwiat rosnącego wszędzie dziko, tak zwanego rumianku końskiego. Kwiatki te zżyna się wraz z górnemi łodyżkami i wysusza potem dobrze w przewiewnem miejscu; po wyschnięciu, sieka je się drobno i przechowuje do użytku. Skoro zołzy się pojawią, należy z rumianku tego, co rano i wieczór tyle, ile w 3 palcach utrzymać można, rozsypać koniowi na obrok.

Dobrym środkiem na wszy u bydła ma być woda, w której się gotowały ziemniaki. Po jednorazowem zmyciu nią dotkniętych robactwem miejsc, takowe podobno ginie. Zapewne trujący pierwiastkiem będzie solanina, której część zawsze w wodzie po ugotowaniu ziemniaków pozostaje w rozpuszczeniu.

Jeden z francuzkich ogrodników poleca glycerynę, jako środek, pobudzający do życia stare nasiona. Próby robił ze staremi nasionami, które siane wprost, wschodzić nie chciały. Moczenie ich we wodzie nie wydawało pożądanych rezultatów, dopiero przy użyciu glyceryny, wschodziły prędko i w znacznej procentowej ilości.

Ziemianin.

Odpowiedzi od Redakcji i Administracji.

P. Rei. w P. Do kilka osób posłaliśmy — żadnej odpowiedzi dotąd niema.

P. Chr. w U. S. Serdecznie dziękujemy — wysłaliśmy komu należy, wraz z całą powieścią *Nasze Życie*.

P. Marcinkowski w Chicago. Cztery posełki książek pod opaską rekomendowaną wysłaliśmy już ze Lwowa, nuty wysłane zostały z Warszawy i ze Lwowa — ale jeszcze więcej pan odbierze.

Szanownych Panów abonentów zamieszkałych w Ameryce uprzejmie prosimy, aby byli łaskawi odnowić prenumeratę na „Gońca" i „Iskrę". Oczywiście, dotyczy to tych, którym prenumerata się już skończyła, a którym pomimo to posełki dalszej pism nie przerwaliśmy. Zwracamy im łaskawą uwagę, że zaległości prenumeracyjne są dla wydawnictwa uciążliwe, bo mamy bardzo liczne wydatki.

P. J. Poeche w Krakowie. Z propozycji pańskiej korzystać nie możemy, gdyż miejsce w dodatku powieściowym na długo jest zajęte.

Nadesłane.

Pożyteczną będzie rzeczą powiadomić szerszą Publiczność, że łaźnia parowa pana Łodyńskiego znajduje się we Lwowie na ulicy Żółkiewskiej koło rampy kolejowej, jest jedynym w mieście naszem tego rodzaju zakładem, w którym, oprócz czystości, wszelkich możliwych wygód i dobrej, a starannej obsługi, znajduje się wyborna i zdrowa woda, co jest rzeczą niezmiernej wagi w łaźniach parowych i na co też zwraca się szczególną uwagę. Właściciel tej łaźni parowej na Żółkiewskiem, dokłada wszelkich starań, aby goście pod każdym względem byli zadowoleni — porządek więc, czystość, usłużność, wygodny spoczynek są przestrzegane przez zarząd z ogromną starannością i troskliwością. Gdy się doda, że tramway, biegnący przez Żółkiewską ulicą ma przystanek przed samemi drzwiami łaźni, to nawet z najodleglejszej części miasta, z łatwością i wygodnie przybyć do niej można.

Łaźnię tedy parową p. Łodyńskiego poleca się szan. Publiczności, gdyż zakład ten zasługuje na uznanie pod każdym względem. (4690 2—1)

Piwo z browaru pana Albina Kollorasa *w Radziszowie pod Skawiną* — jest, istotnie, tak doskonałe w smaku, zdrowe i wszelkie posiada zalety najdoskonalszego piwa, że lwowskie sklepy i zakłady restauracyjne i kawiarniane powinny by się postarać o nie, przynajmniej, w butelkach na teraz. Z największą pewnością znalazłoby ono licznych konsumentów, bo nie ustępuje najlepszym zagranicznym piwom, a jest od nich tańsze. Całe prowadzenie browaru w **Radziszowie przez p. Kollorosa, jest wzorowe.**

Skład tego piwa znajduje się już w Krakowie, powszechnie jest chwalone — i ma wielki odbyt.

Jedną z najlepiej urządzonych i wzorowo prowadzonych cukierni, jest niezawodnie *cukiernia pana Dąbrowskiego w Tarnopolu*. Z pewnością w największych miastach lepszej nie znajdzie, a pod względem wypieku ciast, cukrów i wszelkiego rodzaju cukierniczych wyrobów, rzadko która cukiernia w największem mieście sprostać może panu Dąbrowskiemu, który, oprócz głównej cukierni, obok hotelu Punscherta, otworzył w Tarnopolu drugą cukiernię na Pańskiej ulicy. Pan Dąbrowski przytem, jest zacnym obywatelem, cieszy się ogólnym szacunkiem i niepodzielnem uznaniem. Podróżny. (4694 st.—1).

Pan Lesław Rzewuski, po bracie swoim ś. p. Walerym objął w Krakowie zakład fotograficzny, znany zaszczytnie w całej Polsce.

Zakład ten, który przez długi przeciąg czasu sumienną pracą i wielkiem fachowem wykształceniem doprowadzony został do pierwszorzędnego światowego stanowiska — dalej w tym samym kierunku przez p. Lesława Rzewuskiego prowadzony będzie i można być najpewniejszym, że co tylko posiada postęp w zawodzie fotograficznym, co wymaga sztuka i nauka — wszystko to w tym zakładzie zastosowane będzie, a utrzymanie sławy tego zakładu i wziętości, nowy właściciel uważa sobie za święty obowiązek w obec nieodżałowanej pamięci brata swego. (4695 6—1.

Odpowiedzialny za Redakcję i Wydawnictwo: Fr. Ks. Kowaliszyn. Z drukarni W. A. Szyjkowskiego ul. Kopernika l. 5. — Telefon Nr. 117.

Dodatek powieściowy na dalszych stronnicach tegoż numeru.

Dodatek powieściowy do Nru 36 „Gońca“.

Von Kramst

przez

Autorkę „Opowiadań“.

(Ciąg dalszy patrz dodatek do Nru 43. „Iskry“).

— Niechże ci pan Nowak dorzuci oną dziesiątczynę, a pójdziewa kupą do dworskiego siana — i tyla.

— Słyszycie go jaki przemądrzały! — krzyknęła ex-lokajka. — A z czyjej kieszeni dorzuci? co, hę? A ty, Jaśku, co dorzucisz panience za to, że ona darmo lekowała twoją babę i sprowadziła do niej doktora?... A oddałeś panience siedm rubli, co ci użyczyła latoś na pogrzeb matki? Jaki mi filistyn! widzicie go!

— Trzymałbyś Jasiek gębę na coś lepszego, a nie na wstyd! — wołała gromada.

— Jeszcze komu mleć po próżnicy ozorem, — dodał Kacper — a nie tobie, kiej masz darmo ze dwora zagony na kapustę.

I Jasiek zamilkł, a nawet opuścił kudłatą głowę na piersi, bo mu się raptem wstydno zrobiło.

Tymczasem Kępiaczyna, z tego oburzenia gromady, poczęła dobrze wnioskować o zwycięstwie. Dworskie siano będzie niechybnie ocalone, a tym... z Wilczanki, jakby szkłem nos utarł; tylko trzeba jeszcze coś dorzucić chłopstwu, nakłaść im we łby łopatą czegoś przemądrego, żeby te ciemne mózgownice nie krewiły już nadal nigdy.

— Wiecie wy sami — ozwała się po namyśle, że panienka, choć z bogatego rodu, ale teraz bogaczką nie jest...

— Juści tak, — przerwał Jasiek, a chciał on teraz zatrzeć to, z czem się na wstyd swój wyrwał przed chwilą. — Byli ojcowie jej bogacze, aleć niebożęta skapieli, przez tego poganina Siedlickiego, rządcę z Wilczanki... Bodaj ci on z piekła nie wyjrzał, psubrat! Niech go choroba!

— Widzicie tak, gdyby panna Jadwiga nie została zrabowaną przez tego obwiesia, gdyby jej sie dostały po rodzicach dobra wilczańskie, byłoby można wtedy przyrzucić wam, nie tylko dziesiątkę, lecz i półzłotek nawet, za każdą robociznę. A i tak z tych pozostałych włók dwudziestu, na których biedactwo zapracowywa sobie ręce po łokcie, czyż wam nie udziela czego może, powiedźcie sami?

— Udziela niebożątko, — potwierdzili.

— No, widzicie. Powiedzcież jeszcze, kto więcej wart, panienka, czy tamci niemcy z Wilczanki?

— At! próżne gadanie — rzekł spluwając Kacper, a za nim splunął i Jasiek. — Panienka, to nasza panienka! Jeszczeby też przyrównywać ją do tamtych? Panie odpuść grzechy! Panienka, nikiej krew nasza i tyla!

— Ma się rozumieć, że ona, niby dusza krewna waszych dusz; dobrzeście rzekli. Kacprze, ona krew nasza! Opiekujcie się tą krewną, jak Bóg przykazał, jak ona wami się opiekuje! Żyjmyż wszyscy, podpierając się, a Bóg nam będzie błogosławił. Pomyślcie jeno sobie, że ona sierota. Któżby się za nią ujął!

— Kiej się ujmować za panienką, to się ujmiewa! — wykrzyknął Jasiek. — Czemu nie? choćby zaś i na ten przykład zaraz... Spierzemy Siedlickiego i przegonimy go na suchy las! Ano, wilczańskie bory i grunta, to panienki wszystko, jeno ten kryminalnik zamachlował i tyla!

— Mamuniu! — zawołała przestraszona Julisia — dajcie już pokój tym rozmowom, które się na nic nie zdały! Niech się już lepiej ludziska rozejdą.

Ani Marcinowa, ani jej córka nie zauważyły kupienia się żerdzińców przy cegielni, bo w tej chwili, opłotkami, po za wsią, na dróżce od dworu, spostrzegły niebieską sukienkę panienki.

Panna Jadwiga Zapolska zwykle szła w lecie do ochronki, nie gościńcem przez wieś, lecz ścieżką przy łąkach; raz, że idąc na przełaj, skracało się znacznie drogę, powtóre, nęciły ją świeżość od łąk zielonych, zapach żywiczny od blizkiego lasu i widoki zarzeczne, przeciągające się gdzieś w dal, po szlaku nizin.

Słońce brodziło w atmosferze przejrzystej, Jadwiga zasłaniała się od jego promieni dużą szarą parasolką, z której cień padał na nią do pasa, zostawiając tylko w jaskrawem oświetleniu lazur jej spodniczki i parę jasnych warkoczy, spływających aż do kolan.

Szła, rozglądając się do koła, lub topiąc wzrok w owej dali wilczańskiej, która jej oczy magnetycznie pociągała ku sobie. W ręku niosła spory koszyczek, a idąca przy niej krzepka dziewczyna wiejska; miała także jakiś pakunek w garściach.

Na zakręcie ścieżki, przy rzeczce, Jadwiga przystanąwszy nieco, odezwała się wpół do swej towarzyszki.

— Jaka szkoda, że ten mostek zrywany zostaje przez każdy przybór rzeki! I teraz pewnie przyjdzie świętojanka, narobi psot różnych, a tymczasem ludzie wilczańscy, z dziećmi, odcięci będą od naszej ochronki, albo też muszą tracić wiele czasu, obchodząc wokoło, by się przez bród przeprawić.

— Proszę panienki — odrzecze dziewczyna — wilczańscy doczekali się przecie swego dziedzica, to niech ci on teraz z nimi majdruje. Coś ze sześć niedziel, jak se on dziedzic siedzi już we dworze, a gadają ludzie, że on zgoła nie kiepski jakiś człowiek. A to ci zaś skoro tu se osiadł, tak się wziął i do rządcy Siedlickiego i do *hadministratora* — i tak ich obu *ośtafirował*, że już lud gwałtu nie zazna. A rozmiarkował se też wszelakość złodziejstwa, co mu czynili te dwa rabuśniki w wilczańskiej majętności. Teraz lud tam ma siakie takie dostąpienie do pałacu, bo on dziedzic dopuszcza chłopów do siebie. A kiej ci nie znaczną iść ze skargami do niego, a kiej mu nie zaczną ludziska rozgadywać, jak to było za jaśnie państwa, a jak zaś jest teraz za rządów tych niecnotników, im tak nasolił, że już teraz mają za swoje, a ponoś tylko u niego ma łaskawość pan Michał, choć to syn niegodzijasza.

— Syn za ojca nie odpowiada, — Marysiu, — tłómaczyła Jadwiga.

— Zawszeć, panienko, taki wstydno świeci oczami, który ma lichych ojców.

— Jest na to sposób, Marysiu, że wstyd odpadnie od niego; niech się stanie poczciwym człowiekiem i za siebie i za swych ojców!

— I ona dubeltowa uczciwość zrobi tak, że ludzie gadania zaprzestaną, panienko?

— Chrystus na winnych nie każe rzucać kamieniem, a kto godzi w niewinnego, podwójnie grzeszy.

— Prawda panienko.

I obie szły dalej w milczeniu, po chwili Marysia znowu przerwała ciszę.

— Gadają, że dziedzic wilczański okrutny bogacz jest, nie ma też, ni swej kobiety, ni dzieci, bo jeszcze młody; żeby jeno chciał, toby wygodził ludowi i twardy most poładował na rzece; ot, kupę pieniędzy, jak lodu, sypie w one wszelakości, wedle pałacu, niechby i na to nie żałował! Ale ponoś on nie ztąd, panienko, bo i po naszemu kiepsko gada, i do kościoła nie chodzi. Zwyczajnie *miemiec*. Czy między takimi znajdzie uczciwą duszę, panienko?

— Dla czegożby nie, Marysiu? Każdy miłujący Boga i ludzi jest uczciwym człowiekiem — odrzekła Jadwiga, — i zamyśliła się, a w tem zamyśleniu, doszły już obie do ochronki.

Dziatwa przyzwyczajona do widoku panienki, stanęła wieńcem w koło niej.

Tymczasem Jadwiga powitawszy Kępiaczynę i Julisię, poczęła dzielić między ten drobiazg łakocie z koszyka: chleb biały, suszone owoce i sera krajanki. Marysia przyniosła mleko, rosół dla niemowląt, a chleb razowy, mąkę i kaszę dla starszych.

Na przednówku, podżywianie dzieci w ochronie było dobrodziejstwem, ile, że i w zamożniejszych nawet chałupach, skąpiono teraz z jadłem, bo wszędy zapasy przeszłoroczne miały się już ku schyłkowi. Panna Jadwiga przychodziła tu, dwa razy w tygodniu, z zapomogą.

— A co tu słychać u was, Kępiaczysiu? — zapytała.

— Nic złego, panienko, wszystko po staremu; tylko to małe Bartkowej wciąż chuderlawe jakieś, kto wie, czy się uchowa.

Panna Zapolska zbliżyła się do kołysk wynędzniałej dzieciny.

— Ale co mówisz, Kępiaczysiu? już się ono znacznie poprawiło; przez zimę zamizerowała je niedbalstwem matka, należy tylko odżywiać biedactwo, a nic mu nie będzie. I głaskała białą ręką wybladłą twarzyczkę niemowlęcia, które się do niej uśmiechnęło.

Potem siadła na murawie — i zaraz wszystek drobiazg, umiejący chodzić, zbiegł się kłusem do niej; a ona wnet rozpoczęła zwykłą swą pogadankę z temi istotami ubogiemi w pojęcia i w słowa.

Wyjmując tedy z kieszeni obrazek z ukrzyżowanym Chrystusem:

— Co to? — zapytała.

— Jezus — odrzekły chórem.

— A kto jest Jezus?

— Bóg.

— A gdzie jest Bóg?

— Tam, i tu, i tu, — odpowiadały, wytykając paluszki ku górze, i wskazując na wszystkie strony.

— A co Bóg daje?

— Matulę, tatula, świętą ziemię, chleb na niej i wszystko...

— I panienkę — dorzuciło jedno, widocznie bardziej rozwinięte.

— Jak dzieci grzeczne, to Jezus cieszy się w niebie, ale kiedy kłócą się, biją i nie słuchają starszych, zaraz Jezusa tu boli. — I wskazała na otwartą ranę w boku Zbawiciela.

— Będziemy grzeczne, niech już nie boli Jezusa.

— A co Jezus każe?

Kasia na odpowiedź, objęła za szyję Wojtka, a dwóch malców dało natychmiast trzeciemu po kawałku sera. Były to dzieci z wojny kijowej i chlebowej, widocznie miały one już poczucie odpowiedzialności za ten ból w boku Chrystusa.

Jadwiga zrozumiała to zadośćuczynienie przewinień dziecięcych i uścisnęła maleństwo, każde z osobna.

— A to czyje? — pytała znowu, ukazując kromkę białego chleba, leżącego na murawie.

— Jasia.

— Czemu Hanusia nie zje tego.

— Bo to Jasia, nie moje.

Rozmowa ciągnęła się dalej, zmierzając wciąż do jednego: do zgody, spójni, wzajemnego pobłażania i poszanowania cudzej własności; obracała się, stosownie do pojęć bardzo małoletnich, w nader ciasnem kółku, które przecież na przyszłość, rozstąpić się mogło w wielkie i wspaniałe koło.

— Zaśpiewaj nam, panienko! — napierały się dzieci.

Panna Zapolska, śpiewając swym pacholętom, dobierała zwykle do słów naprędce zaimprowizowanych melodje dziarskie, lub rzewne, bacząc głównie na łagodność i czystość tematu. Piosenki te, składane na poczekaniu, dzwoniła często w ochronce, głosem świeżym, kryształowego dźwięku; a drobnym słuchaczom śpiew jej zdawał się być, jakąś słodką pieszczotą, jakiemś miłem kołysaniem w ciepłych objęciach matki, jakąś łakocią, wybornego smaku.

Dziwna rzecz, dzieci zawsze prędzej pojęły myśl zawartą w pieśni, aniżeli sens gawędy, choćby w najprzystępniejszej formie.

Nie dała się długo prosić panienka, a namyśliwszy się chwilkę, śpiewać poczęła:

Oj, polecę z żórawiami
W tę tam jasną dal!
Do tej ziemi za górami,
Za morzami z fal...
Ale, czy tam w onej dali
Będzie kraj mój ten?
Kościół, co go odnawiali,
Ten za wsią hen, hen?
I poszyta słomą chata,
I ta lipa rosochata,
To w deszcz niebo, z chmurą siwą,
A w pogodę, istne dziwo,
Jak kwitnący len?
Szary krzyż, o bożej męce,
Wronie gniazdo na sosence,
Łąka, co się rozkwieciła,
I mogiła, smętna, miła,
Tam za wsią hen, hen?...

Oj, popłynę z rybką społy
Za sto cudzych rzek!
Gdzie te inne chaty, sioły,
Wysiądę na brzeg.
Lecz, czy za mną tam popłyną
Na ten inny kraj,
Głosy, co wspomną jedyną. —
Na mej ziemi maj!?...
I w odpust organów granie,
I to dzwonów rozszlochanie,
Klekot boćka na stodole,
I z fujarką to pacholę, —
Rozśpiewany gaj!?
I „szczęść Boże“ na zagony,
Wita nisko: „pochwalony“!
I ta lira w torbie dziada,
Co o dawnych pieśniach gada...
Ten szum drzewin w borów szczycie,
I ten kur z pianiem o świcie,
Jakby wołał „wstaj“!

— Nie poleć i nie popłyń, panienko! — zawołały dzieci, gdy Jadwiga śpiewać przestała.

— A ktoby nam przynosił i bułki i jadła? — zapytało jedno.

— Ktoby nam śpiewał? — mówiło drugie. Mała Hanusia poczęła płakać.

— Cóż ci to Hanusiu? — zapytała Jadwiga, przygarniając do siebie dzieweczkę.

— Jak panienka popłynie i poleci, — mówiło przez łzy dziecko — to my, to my... — I już więcej nic wyrzec nie mogło przy łkaniu, które niem targało.

Jadwiga czuła się wzruszoną do głębi duszy, czuła również jakąś dziwną dumę, która w tej chwili wypełniała jej piersi. To przywiązanie do niej dziatwy chłopskiej, wydało jej się jakąś nieopisanie wielką nagrodą... za co?... Nie mogła nawet zdać sobie sprawy na razie, za co te małe istotki tak ją kochają, chyba za serce, które dla nich żywo w jej piersi kołacze?

— Nie polecę i nie popłynę! — zawołała — będę tu zawsze z wami! — I poczęła pieścić zasmucone niebożęta.

— Pamiętaj se jeno, panienko, żebyś nie poleciała i nie popłynęła! bo i kościół, i fujarki, i wronie gniazdo za tobą nie pójdą — szczebiotało jedno.

— I zaś Jezusa w boku zaboli, jak polecisz, — dodała Hanusia.

— Nie, nie, — upewniała Jadwiga — nie odlecę już nigdzie.

Ale w tem, dalszą gawędę przerwało nagłe zjawienie się Marysi, która zziajana, okryta kroplistym potem na czole, wpadła do ogródka, wołając:

— Panienko, dla Boga! panienko!

Pół godziny temu, dziewczyna złożywszy w ochronie to, co przyniosła za panną Zapolską, odeszła do dworu.

— Co się stało? — pytała zalękniona Jadwiga, zrywając się na równe nogi.

— A to, proszę panienki, chłopy z kłonicami, z widłami, co który miał w garści, idą na pałac wilczański i prać będą chyba zaś rządcę.. i wyganiać wszystkich... i odbierać chcą grunta, bory od tamtego niemca... dla panienki...

— Kto ci tych głupstw nagadał? zkąd te wieści?

— Widziałam na żywe oczy, słyszałam na własne uszy, tak mi Boże dopomóż!

— Gdzie? jak?

Kępiaczyna jęknęła:

— O! Najświątsza Panno Częstochowska! może to ja narobiłam tego skweresu?

— Pewnikiem nie kto, jeno pani Marcinowa. Idę se ztąd do dwora, aż tu ćma chłopów... i gadają, że pani Marcinowa nakazała im ujmowanie się za panienką... i, że panienka jest sierotą... i że panienka jest nikiej krewniaczka wszystkich... i że jak panience odbiorą bogactwo wilczańskie, to się ujmą za panienką... i że kiej panienka będzie bogaczką, to im półzłotek dorzuci za robociznę... i, że rządca wilczański przestępnik jest... i że spierą go, jak nieboskie stworzenie... i, że wygonią het, precz wszystkich... i, że o laboga!.. niech jeno patrzy panienka! toć oni już są nad rzeką, wedle brodu...

I wskazała na gromadę ludzi, zbliżających się do brodu.

Gromada owa, z górki plebańskiej, miała pozór oddziału wojska; jeżyły się cepy, kłonice i widły nad ludzkiemi głowami, kosy połyskiwały w blasku słonecznym.

Jadwiga, nie zwracając już na nic uwagi, pędem strzały pobiegła w stronę wojowniczych żerdzińców; biegła tak bez tchu, z gwałtowną pulsacją w skroniach, z biciem przerażonego serca. Lazurowa jej sukienka przewijała się, niby obłok, pędzony burzą, dwa jasne warkocze, jak dwie złote błyskawice, goniły za nią, przerzynając powietrze. Ona biegła ze śmiertelną trwogą o te dzieci, o ten lud, który umiłowała.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Odpowiedzialny za Redakcję i Wydawnictwo: Fr. Ks. Kowaliszyn. Z drukarni W. A. Szyjkowskiego ul. Kopernika l. 5. — Telefon Nr. 117.